

# TRUCIZNA

OPOWIADANIE W UNIWERSUM HORYZONTU



# TRUCIZNA

## UNIWERSUM HORYZONTU



AUTOR:

SEBASTIAN „RAMIREZ” ZARADNY

GRAFIKA OKŁADKI:

ADRIAN „KAMAEL” SAŻALSKI

OFICJALNA STRONA SYSTEMU:

<https://horyzonttrpg.wordpress.com/>

*Powstanie ten, co nie ulęknie się IM*

*Ten, co w końcu moc większą od NICH posiada*

*- Przepowiednia polskiej astrolożki o nieznanym imieniu.*

Zdarzyło się to w małej, polskiej wiosce, której nazwa jest nieistotna dla całej opowieści. Wieś taka jak każde inne w tych czasach. Parę domków, kilka rodzin, trochę bezdomnych psów, knajpa i studnia. Jednak pewnego miesiąca miejscinę tę nawiedziła katastrofa. Kohorta postanowiła zrobić tutaj swój mały spichlerz. Co niedzielę, jak kiedyś ludzie przychodzili do księdza, złożyć ofiarę to tym razem wielki wojownik Kohorty niczym ksiądz, przychodził po ofiarę do ludzi. Jak za starego przymierza, po ofiarę ze świeżego mięsa. Ludzkiego. Strach potrafi zabić każdą logikę. Nikt na początku nie pomyślał, że prędzej czy później, ludzki zapas się skończy. Jedyny słuszny moment na obronę jest tu i teraz. Tak pomyślał nikt. Wszyscy modlili się do Boga, w którego jeszcze wtedy wierzono, aby najeźdźca nie wybrał sobie nikogo z jego rodziny.

Tak samo myślałem również i ja. Byliśmy prostymi wieśniakami. Na całą wieś tylko jedna osoba posiadała tarczę energetyczną. Był to nasz barman i szeryf w jednej osobie, jednak tak szybko, jak pojawiła się Kohorta, tak wykopaliliśmy dla

niego grób. Gdzie właśnie spoczęła razem z nim nasza jedyna energetyczna nadzieja. Wszyscy bali się nawet myśleć o jakiegokolwiek samoobronie, a co dopiero przerodzić myśli w czyn. Bo Ludzie z reguły są tylko mocni w gębie. Gdyby mi to się przydarzyło, to bym zachował się inaczej. Ta, jasne...

Mój przyjaciel z dzieciństwa, Janek, nie miał tyle szczęścia co ja. Wręcz przeciwnie. W miesiąc stracił matkę i ojca. Nikt z nim nie rozmawiał, bo co mu powiedzieć? Jak pocieszyć? Czy w ogóle w tej sytuacji ktoś ma prawo mówić o szczęściu, czy nadziei? Oczywiście, że nie. Nawet nikt nie zwrócił mu uwagi, gdy pijany Janek rozkopał grób szeryfa. Zaczął teraz rozmawiać z jedną osobą, która chyba człowiekiem nie była. Siedział przed pustym, wiejskim domem i gadał do tarczy energetycznej.

Tak oto minęło kolejne czarne i ciche sześć dni. Marazm, zmęczenie i powiększająca się panika hulała w najlepsze po wiosce, gdy nadeszła niczym cień śmierci, kolejna niedziela. Podwieczorek najeżdźcy. Jednak coś się zmieniło. Zamiast jednego, przyszło trzech Wojowników Kohorty. Każdy z nas wiedział, że to „dzień sądu”. Koniec. Nawet jeden, w wielkiej zbroi stanowił dla nas niepokonaną siłę, a co dopiero trzech! Wiedzieliśmy, że walka nie ma sensu. Pozostało jedno wyjście.

- Wiać! – ktoś krzyknął przeraźliwie. Nie pamiętam kto.

Wszyscy się rozbiegli. Każdy myślał o sobie, bo podświadomie wiedzieliśmy, że jak choć jedna osoba przeżyje, to będzie cud. Wojownicy, o ile posiadają emocje, stali nieruchomo, jakby nie zrobiło to na nich wrażenia. Żadnego. Po chwili kroczyli w trzech, różnych stronach i zaczęli kolejno „łapać” bezbronnych wieśniaków. Ja ukryłem się w starej ziemiance. Licząc, że i tym razem ocaleje. Nie myliłem się.

Jednak to nie moje ocalenie było najważniejszym momentem tego przekłętego dnia. Bo o to nagle, na środku placu rzezi stanął Janek. Miał założoną tarczę energetyczną. Coś już wtedy zdawało mi się, że jest nie tak. Choć nie jestem w stanie powiedzieć nawet teraz, co to było. Oczywiście, jeden z wojowników Kohorty od razu zainteresował się nieruchomym celem. Zaczął podchodzić do Janka powoli jak nieunikniony wyrok śmierci, liczony w kurczących się dniach.

- To za Mamę i Tatę, skurwysyny! – wykrzyczał na cały głos Janek, a oczy miał otwarte szeroko tak, że przekrwione białka prawie mu wyszły na wierzch. W tym samym momencie rozszerzył poziomo ramiona. Cała jego sylwetka

wyglądała jak krzyż, który miał nas zbawić. Jednak jak się zaraz okaże, było nieco inaczej.

Jego oczy zaślniły na jasno niebiesko. Z tarczy zaczęło iskrzyć, a to przerodziło się w ładunek elektryczny, który po kilku sekundach wystrzelił z całego jego ciała przerażającą ilością piorunów. Scena, którą nie zapomnę do końca życia. Ba! Scena, którą kiedyś pokazywał mi świętej pamięci tata. W *Nieśmiertelnym Mulcahiego*. Błyskawice pograżyły całą wioskę. W końcu ich blask mnie oślepił. Słyszałem tylko grzmoty, trzaski i nieopisane wrzaski, przerażenia i bólu. Zemdlałem.

Gdy się obudziłem i wyrząłem ze starej ziemianki, było już widno i dało się dostrzec istne cmentarzysko. Spalonych na wiór wieśniaków, których ciała leżały dosłownie wszędzie. Zwęglone zbroje wojowników Kohorty. Czarne. Wciąż, dymiące kawały niby metalu ni to skorupy, z których na ziemię wylewały się potworne gluty. Czy byli oni ludźmi? Nie umiałem wtedy stwierdzić. No i na samym środku tego piekła klęczał ledwo żywy Janek. Czułem to, że tylko minuty dzielą go od wieczności po drugiej stronie świata.

- Ha... ha... ha... - dosłyszałem jego ochrypy i przerażający szept – Zrobiłem to... Mamo... Tato... Zrobiłem to! – jego ostatnie słowa przerodziły się w krzyk i w dziki śmiech szaleńca. Kilka chwil później upadł na ziemię. Byłem tego pewien, że i na niego przyszedł właśnie czas.

Nie wiem, ile siedziałem w tej ziemiance, co ocalała moje życie. Przez dłuższy czas nie miałem odwagi, aby wyłonić się z mojego okopu. Jednak gdy się odważyłem to niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, Janek nagle podniósł się i zaczął iść przed siebie, mruczając do tarczy chyba takie słowa...

- Tak jest, Mistrzu. - Przygotuje więcej. - Jestem na Twoje rozkazy, Mistrzu.

Nie wiedziałem, kto jest tym Mistrzem. Nie wiedziałem, gdzie idzie Janek. Wiedziałem jednak, że muszę to odkryć. Wiedziałem także, że tarcze energetyczne to zło tego świata. Świata, który przybył do nas z kosmosu. To trucizna, która sprawi, że ludzkość wyginie. Może nawet, że sami się pozabijamy. Jednak za nim to nastąpi, sprawię, że to ONI zatrują się pierwsi.

Jestem Janek. Jeden z najpotężniejszych polskich manipulatorów.